

## ROZDZIAŁ VII

### DZIEŃ 4 MAJA 1863 R. BITWA POD BORYĄ

W dniu 4 maja, dodnia, opuściliśmy gościnny i patryjotyczny Tarłów, maszerując na południowy zachód. Około godziny 8 r., wśród przecudnego poranku, zbliżyliśmy się do miasta Ożarowa, z którego przy biciu dzwonów wystąpiła naprzeciw nas uroczysta procesja z krzyżem, chorągwiami, obrazami i trzema księżmi na czele.

Gdyśmy zbliżyli się do procesji, kolumna się zatrzymała sprezentowawszy broń; po wzięciu następnie do nogi, orikryła głowy. Prowadzący procesją kapłan siwiutenki, moskalach i zdrajcach, znowu odżywiła w masach zapał patryjotyczny. Czachowski chciał to wyzyskać.

Gdy rozmyślałem nad tem, pocwałował obok mnie Czachowski z Eminowiczem i adiutantem, którym dnia tego był Gromejko; gdyż Wielhorskiego i audytora Zdzitowieckiego wydalił już znacznie pierwej z oddziału. Widząc to, odezwałem się z szeregu do starego wodza:

- Ojczy! jak może być daleko ztąd do Bałtowa!

Wstrzymał konia, spojrział mi bystro w oczy; a gdym wzrok jego wytrzymał, uśmiechnął się życzliwie, i odpowiedziawszy lakonicznie:

- Dobre pół mili - pocwałował ze sztabem dalej drogą naprzód.

Weszliśmy zaraz potem w las, a wkrótce padł przed nami w oddali strzał.

Droga była kręta, nie mogłem przeto rozpoznać, z której strony padł strzał. Obróciłem się do jadącego obok mnie konno oficera, Franciszka Boczkowskiego, mówiąc:

- Franek! możeby który z oficerów konno jadących lub kawalerzysta sprawdził, czy to czasem nie wypadkowy był ten strzał, bo jakoś więcej ich nie słychać?

Boczkowski, wyciągnawszy z futerału rewolwer, pocwałował naprzód. Wkrótce potem, przy samem prawie wyjściu awangardy z lasu, strzały się posypały. Z okrzykiem: Moskwa! - przyspieszyliśmy kroku na samem wyjściu z lasu, Czachowski ze sztabem obok nas przecwałował na spienionych koniach a dopadłszy nas, zakomenderował:

- Dolnicki! rozsyp kompanję moją na prawo w tyraljery, i prowadź ją przeciwko Moskalom.

Las gęsty na lewo od drogi się skończył. Na prawo zaś mógł być siany przed laty kilkunastu, o czem świadczyły jeszcze widoczne ślady dawnych zagonów, lecz na bitym piasku, gdzie nie gdzie rosnąca jodełka, smerek i sosienka, cienkie i liche dozwalały dość daleko widzieć. W prawo jak sięgnąć wzrokiem w oddal, ten się zatrzymywał na gęstym, lecz młodym lesie; na lewo drogi, na piaszczystych zupełnie prostych wzgórzach orných. Szukałem mym silnym wzrokiem nieprzyjaciela, ale nawet śladu jego odkryć nie mogłem.

Na powtórzoną przez Dolnickiego komendę w «tyraljer», jako idący na skrzydle pędziłem skośnie w prawo, a kompanja biegiem rozwinęła się w jednej chwili. Gdym zobaczył, że się cała już rozwinęła prostopadle do drogi, dodałem za pośrednictwem biegnących w łańcuchu na prosto: aby lewe skrzydło nie oddalało się od drogi.

Dnia tego do całej mej wesołości, jaka mnie ożywiła, nie wiem, czy skutkiem podniosłej wczorajszej uroczystości narodowej, a może i te dnia dzisiejszego błogosławieństwa siwych starców, tak chrześcijańskich jak i izraelickich, tyle rzewności w mej duszy obudziły, i przy całym podnieconym jej stanie: ani na chwilę dobrej fantazji nie traciłem, choć ciągle nasuwało mi się przecucie, że dzisiaj padnę zapewne w bitwie. Gdy biegliśmy w łańcuchu, miałem obok towarzysza, Franciszka Kozerańskiego, kominiarza przedtem, rodem z Krakowa, dzielnego żołnierza podoficera naszej kompanji.

- Franek! ja mam przecucie, że w dniu dzisiejszym zginę. Dajże mi słowo honoru, że skoro ujrysz, żem ranny, to uniesiesz mnie w tył, a ja przysięgam względem ciebie nawzajem to wykonać, gdyby na cię ten sam los wypadł - i dalejże robić testamentowe rozporządzenia.

Dzielny ten prawy patriota, Polak i żołnierz, przyrzekł mi naj uroczyściej spełnić moją wolę ostatnią.

Upaliwszy szalonym biegiem około tysiąc kilkuset kroków, mieliśmy, zaledwie o sto przeszło kroków w prawo, gęściejszy las, którego wzrokiem nie mogłem już przeniknąć. Gdy do tego ujrzałem, że przede mną znów o jakie kilkadziesiąt kroków zaczynał się także gęsty las, kazałem ostrożnie łańcuchowi ku temuż się posuwać; nie dostrzegłszy zaś i teraz ani śladu Moskali, oglądałem się poza siebie, aby zażądać z góry rozkazów, co dalej czynić mamy; bom obawiał się, czy w tych gęstych lasach szpilkowych nie jest czasem ukryta zasadzka. Ze zdumieniem jednak spostrzegłem, że nikogo z oddziału, ani nawet Dolnickiego, za nami nigdzie dostrzedz nie było można.

Dałem przeto komendę łańcuchowi stanąć. Następnie kazałem, aby prawy koniec łańcucha zachodził i posuwając się ostrożnie, pojedynczo wchodził do lasu, przetrząsając go bacznie i postępując wciąż naprzód.

Objąsniałem przy tem, że las ten, choć tak gęsty, musi być w tem miejscu bardzo wąski; gdyż Czachowski powiedział mi jak wyżej, że do Bałtowa jest tylko dobre pół mili. A że pod tą wsią płynie od naszej strony rzeka Kamienna, w dość głębokiej i szerokiej pomiędzy wzgórzami kotlinie, przeto my obecnie stoimy już gdzieś na jej brzegu.

Dodałem przytem słowa nieodżałowanego Grzmota:

- Kupa, to śmierć! - Rozrzucić się w lewo!

Na to usłyszałem odpowiedź, półgłosem, od lewego skrzydła:

- Ba! na lewo, kiedyż tam czyste pole?

- Pole! - powtórzyłem oburzony, - więc cóż z tego że pole?

A biegnąc na koniec powyższego, skrzydła, wołałem w najwyższym oburzeniu:

- I wy śmiecie twierdzić, żeście Polacy? Czyż w lasach tylko wiecznie się bić myślicie? Któż więc wroga wyrzucić ma z naszych wsi i miast.? Lasy są dobrodziejstwem: do gromadzenia się w nich, uzbrojenia i zorganizowania, ale tylko na polach, we wsiach i miastach a w końcu w twierdzach, przez wroga zajętych, musimy toczyć nasz bój za ojczyznę. Podli i tchórze więc są ci, co tylko lasów wiecznie się chcą trzymać.

A dobiegając do końca skrzydła, wzburzony zapomniałem, i zdawało mi się, że to była środa wtedy, choć nią właściwie nie była i dodałem:

- Dziś jest środa, dzień Matki Najświętszej, a zatem w Imie Ojca, Syna i Ducha Świętego Amen - i przeżegnawszy się przy słowach powyższych, dodałem przeskakując przez drogę - kto Polak, za mną, naprzód! Marja nas płaszczem swym osłoni !

Gdym wyskoczył po za las, na drogę, rzeczywiście wpadłem jakby w rój pszczół na wyrojeniu się. Kule leciały po prawej mej stronie, z zachodu na wschód, a których lot w poprzek przecinać musiałem. Mimo to, choć dobrzem się rozglądał, Moskale ani jednego nie ujrzałem, a kule ich padały z po za piaszczystego wzgórza, z pod Borji, przez elewację ze sztućców sypane.

Dojrzawszy jedną jedyniuteńką na całym tym obszarze bitego piasku, o jakie dwieście kroków przeszło na prost, sosienkę niegrubą, zatrzymałem się przy niej i obserwowałem bacznie teren. Z towarzyszy moich, ani jeden do tej chwili jeszcze w ślad za mną nie poszedł.

Na froncie zasłoniło mi widok piaszczyste wzgórze, którego wierzch ostrzeliwali stojący widocznie naprzeciw tegoż Moskale, sądząc zapewno, że drogą, którą postępował poprzednio nasz oddział, zeszedł z tej - i za niem do ataku się formował. - W prawo, na równi ze mną, stał nasz łańcuch, a w lewo zaś na odległość 1000 kroków, ujrzałem skośnie do mnie domostwa i stodoły wsi Boryi.

Za sobą nie dostrzegłem jeszcze wówczas żywej duszy z naszego oddziału. Kule zaczęły za gęsto obok świstać, i to jakby do mnie celowane. Wpatrzyłem się więc bacznie w tę stronę, i ujrzałem dopiero przed stodołami wsi Boryi sianożęcie, przy których ogrodzeniu rosły tarniaki, a z pomiędzy tych ukazywały się płomyki i dymki strzałów. Leżeli tam ukryci tyraljerzy moskiewscy, w pobliżu wyż rzeczonyj rzeki. Przed nami pole się wkrótce z bujnem zboiem otwarło.

Wzdłuż całej tej strony lasku, ani śladu Moskale nie natrafiłem. Przeszedłem w zboże naprzód i po ujściu dwóch stojali w niem, ujrzałem pod stopami naszymi cały widok doliny rzeki Kamiennej i przeciwległych płaskowzgórz, z urodzajnymi polami i wioskami. W lewo zaś widać było po części ruiny zamku Bałtowskiego, dawnej rezydencji książąt Lubomirskich w Sandomierskiem. Lasek przebyty przez nas, mający kształt trójkąta wysokiego a bardzo ostrego, który w jego wierzchołku przebyliśmy, zasłaniał nam widok wsi Boryi, w dolinie Kamiennej, a po tej już jej stronie, naprzeciwko Bałtowa leżącej.

Tu wydałem rozkaz, aby ponownie uformowali łańcuch, oczekując rozkazów dalszych, w nadziei, że kogoś ze starszych w łańcuchu napotkam. Po rozstawieniu łańcucha, zaledwie kilkaset kroków uszedłem, cofając w lewo towarzyszy, aby zachować odpowiednie do wydanej komendy odstępny - gdy usłyszałem sygnał rogu moskiewskiego za lasem, od strony Boryi, do rozpoczęcia ognia. Kule zaczęły przelatywać lasek i ścinać gdzie niegdzie cieniutkie wierzchołki drzewek, świstać i furczeć obok naszych włosów i uszów, a tu w lewo ujrzałem za wielu moich kolegów w kupkach, po kilku razem zbyt blisko siebie stojących. Niezwłocznie rozkazałem im rozrzucić się w lewo, do właściwych odstępów.

Gdym tak wyprawił kilku z nich, z obserwujących mnie za lasem moich współtowarzyszy, wysunął się naprzód za śladem moim, przyjaciel mój, były urzędnik rodem z Radomia, syn także rachmistrza wydziału skarbowego, Hipolit Jurkowski, a przebiegłszy nachylony ławicę przelatujących z za wzgórza moskiewskich kul, umieścił się po za mną i zaczął z drugiego boku sosny, oparłszy na innym sęku swój sztuciec, na wskazaną mu przezemnie elewację i punkt w który ma strzelać, również klęcząc na ziemi, zaczął celować i do wrogów palić.

Upłynęło znów kilka minut, gdy z za lasu od kompanji wysunął się znów Antoni Ciepiewski, młody 18 letni syn sędziego z Solca, również jak poprzedni, celnie

strzelający, i uczynił to samo, co myśmy z Jurkowskim już wykonywali. Przeleciawszy znów schylony szczęśliwie, przez rzezoną grad kul, umieścił się za poprzednim, i gdym mu znów wskazał cel i elewację, otwarł także ze sztucca swego ogień.

Gdy patrzący z za lasu towarzysze ujrzeni, że cali dotąd wymienialiśmy strzały z wrogiem, wysunęło się z tamtąd jeszcze dwóch celnie strzelających, których już dokładnie nazwisk powtórzyć nie mogę, gdyi mniej z temiż znajomy byłem, i śladem poprzednich, przebywszy znów szczęśliwie linią strzałów moskiewskich, wyżej opisanych, umieścili się poza nami a otrzymawszy też same, co naprzód do mnie przybyli, objaśnienia, chcieli rozpocząć także swój ogień na wroga. Widząc, że gdy sosienka mnie już nie dawała dostatecznej osłony, to dalszym zupełnie jej nie dostarczała: skupienie zaś nasze mogło dać tylko bardzo wygodny i pewny cel dla strzelców moskiewskich, wydałem rozkaz kolegom, cofnąć się o parę kroków w tył jeden za drugim, i dodałem - a teraz praktycznie zastosujemy rezultaty tyraljerów włoskich.

Ten, co będzie pierwszym, po tym co wystrzelił, gotowym do strzału, zasłoni się sosną, i oparłszy swój sztuciec na jej sęku, wypali w dostrzeżony cel; następnie przejdzie na piątego, i nabiwszy swą broń, będzie posuwał się i oczekiwał na pierwsze miejsce, z którego tylko będziemy strzelali, a przez czas ten mają być wszyscy nachyleni ponad ziemią.

Powoli zresztą zaczęli i inni do mnie się przyłączać.

Ciągle także niepokoiła mnie myśl, czy nie napróżno czasem marnowaliśmy amunicji naszemi wystrzałami? - Gdym to myślał schylony nad ziemią, raptem szarpnęła mi róg konfederetki jakaś kula z po za mnie. Obejrzałem się natychmiast po za siebie, kto to z tamtąd po nad nasze głowy może strzelać? - i ujrzałem o czterdzieści kroków w tyle, na wyższym cokolwiek terenie gęsty krzak jałowcu, z po za którego unosił się jeszcze dym wystrzału.

Zirytowany tą nieostrożnością i głupotą z tamtąd strzelającego, zawołałem w gniewie:

- Co tam za dureń z po za jałowcu po nad nasze głowy strzela?

Okazało się, że to nasz Edwardek, powstaniec dziecko, tak sobie niefortunnie poczynął a co najzabawniejsze było, że strzelał z myśliwskiej dubeltówki na 800 kroków jak my ze sztucców. Dla dokazania tej sztuki, przeleciał przez grad kul moskiewskich. Odesłałem przeto go napowrót do lasu, pomimo niekłamanej jego chęć pozostania z nami do końca.

Podniósł się jak zmyty, przywiązany wielce do mnie Edwardek, i schylony po nad ziemię przebiegł szczęśliwie po pod deszczem kul moskiewskich z powrotem do lasu; my zaś dalej strzelaliśmy, ale wywabić Moskali na widok za nic nie mogliśmy.

Leżeliśmy dość długo nieruchomie, niby już pozabijani; Moskale jednak z ukrycia swego nie wyłazili, lecz ciągle jeszcze ku nam strzelali.

Na raz ustały u Moskali strzały, podniesli się z tarniaków ich tyraljerzy, i migali się nam tylko schyleni uciekając pomiędzy rzadkie z żerdzi wygradzone płoty, i znikali szybko po za stodołami wsi Boryi. Podniosłem głowę i spojrzałem, aby zobaczyć, przed kim też to oni tak uciekali i zasłaniali się rzezonemi budynkami. Ujrzałem o jakie dwa tysiące kroków w tyle, a czterysta w lewo od lasu za mną, że z po za wzgórzy a na ich szczyty, wyszło rozwiniętym frontem z kosami jakby broń na ramieniu, tylko za dolne końce ich drzewców a zatem bardzo wysoko wystającymi po nad głowami, dość i tak już wysokiego wzrostu będących - parę kompanij naszych kosynjerów.

Pusty śmiech mnie ogarnął na widok powyższej panicznej trwogi jaką okazali carscy niewolnicy, w obec tej rzeczywiście strasznej broni, ale tylko wpośród lasów i wąwozów skalistych.

W polu zaś czystym i równym jak było obecne, do żołnierza zasługującego na to nazwisko, a uzbrojonego w broń palną i dobrze dowodzonego - we dnie nie podobna było z takową nawet się zbliżyć, bez narażenia kosynjerów na zupełne zniszczenie wprzód, zanim by mogli zaatakować swą bronią nieprzyjaciela.

Ukazałem towarzyszom przyczynę powyższej ucieczki z tarniaków Moskali, i zaleciłem, aby brudami czołgając się zajęli szczyt wyniosłości, z której razić mogliśmy nieprzyjaciela.

Była może już 3 po południu, gdśmy wypęzli na wierzch. Dzień jakoś się zamglił. Ujrzeliśmy teraz dokładnie, że frontem przed nami stał w oddali, siny ciemny płot na czystym piasku, którego końce z niczem nie były połączone, za nim widać było dwóch jeźdźców stojących. Na lewo w tyle tego płotu, o jakie paręset kroków też w lewo rozpoznały się budynki wsi Boryi, skośnie w lewo ku rzece Kamiennej pobudowane. W małych zaś lukach jakie pomiędzy budowlami widać było, dostrzegłem siedzących na koniach, ukrytych za niemi kawalerzystów moskiewskich. Co się zdawało płotem, była to piechota nieprzyjacielska, która w tej chwili ostrzeliwała wierzch wzgórza ogniem plutonowym.

Bruzdy, w których głowy nasze pochowaliśmy jakby przyklepione, ochraniały nas przed gradem kul moskiewskich, z przeraźliwym świstem i furczeniem ukośnie lecących na prawo.

Po zagonach obliczywszy odległość, kazałem nastawić wizer na odległość 800 kroków, z tem abyśmy pojedynczo strzelali, przedewszystkiem do dwóch jeźdźców, znajdujących się wśród piechoty, jak widać dowódców głównych. Strzelaliśmy, ale bez skutku, po kolei wszyscy. Rozkazałem przeto podnieść wizjery do 100 kroków, co i u siebie zrobiłem.

Wystrzeliłem.

Prawy jeździec widocznie się poruszył a konia szarpnął trzęzłą i dotknął ostrogą; gdyż ten dał szczupaka naprzód, a potem zwrócił w lewo, kolisto i wolno, stępo odszedł wraz z jeźdźcem swym z placu bitwy do wsi.

Strzelali moi koledzy do drugiego oficera, lecz ten w miejscu ciągle stał. Ujrzawszy to, zarządziłem obniżenie wizjeru z powrotem na 800 kroków, i zaleciłem brać na cel sam płot, dodając, że szkoda na darmo marnować amunicję. Za każdym strzałem moim zaświtało w płocie ciemnym jak gdyby ząb z tegoż wypadł, i zaraz się z powrotem w tem miejscu ściemniło. Dwadzieścia siedm razy dałem ognia z tego wzgórza, a kiedym 28 raz nabijał, leżąc za każdym nabijaniem na wznak, nie mogłem już ładunku dobić, tak grubo osad z ordynaryjnego prochu, przy powyższym sposobie nabijania nierówno na wszystkie strony lasztokiem zsuwany osiadał w lufie. Klucza do oczyszczenia sztućca nie posiadałem, poszedłem go szukać.

Gdy mnie to spotkało, w tej samej chwili zabaczyłem, że czoło kolumny dragonów zaczęło wysuwać się ze wsi; gdy zaś szwadron tychże znalazł się już na zewnątrz jej, zrobił front w naszą stronę, i zaczął się w bok prawego skrzydła ich piechoty, a na lewo od nas, naprzód ku nam ostrożnie posuwać. Roześmiałem się przeto, i wyrzekłem do towarzyszy, gdy dragoni byli już od nas zaledwie o czterysta kroków:

- Koledzy! widzicie jak ostrożnie dragoni obchodzą własnej swej piechoty ogień i

posuwają się, aby sprawdzić jak też jest wielką naszą siłą za tem wzgórzem ukryta, a która im już tyle kołków z ich płota na ziemię powaliła? - poznawszy niemożliwość dalszego utrzymania się na tej zbyt wysuniętej pozycji, zarządziłem odwrót do lasu. Dragoni zaś widząc, że nas było wszystkiego pięciu, w tył zawrócili, i pogalopowali z powrotem do wsi.

Podniósłszy się, dopiero ujrzałem, że kompanja nasza przeszedłszy lasek, za którym ją pozostawiłem, wysunęła się na jego skraj wycięty, od strony Boryi leżący, naprzód i w lewo oli frontu moskiewskiego, i ztamtąd strzelała.

Kosynjerzy zaś schodzili ze wzgórz, i wolno, naprzód się pusuwali. Jankowskiego dwie kompanje wysunęły się z lasu, i stanęły obok kosynjerów jako nasze rezerwy. Na 800 kroków zaś ode mnie, w lewo postępował długi łańcuch naszych tyraljerów, wyszły z po za wzgórzy, na których poprzednio zjawili się i stali nasi kosynjerzy, sięgając końcem lewego swego skrzydła, gdzie znowu flankierowała nasza kawaleria, aż ku łąkom po nad rzeką Kamienną, z położystemi polami się łączącym. Widocznym był tu plan nasz, odcięcia Moskali od linji ich odwrotu, a głównie od mostu. Tym sposobem, nasza linja bojowa z jej przerwami, zakrytymi, to laskami, to wzgórzami, przedstawiała wielkie półkole, przeszło 5-6000 kroków długie, końcami swoich skrzydeł do Kamiennej sięgające.

Na kilka minut, przed podniesieniem się mojem z ziemi, znów kula, lecz tą razą moskiewska, zerwała mi moją konfederatkę, i drugi róg jej uszkodziła. Postanowiłem tę kulę wyszukać, bom widział gdzie padła.

Zajęty tem poszukiwaniem, usłyszałem nad sobą tentent galopującego konia. Poznałem, że to Czachowski w tę stronę od rezerw cwałował. Stary wódz dopadając do mnie, za wołał ostro:

- Czego to w tym piasku grzebiesz i szukasz?

Zdjąwszy więc konfederatkę dwa razy przestreloną i trzymając palec na ostatniej dziurce, oświadczyłem, że kuli szukam, co mi tę psotę wyrządziła.

- Czyś zwarjował, czy co, pod takim gradem kul jej szukać? zawołał - Ruszaj do lasu! Jeżeli ci Bóg przeznaczył kulę, to ją z pewnością znajdziesz. Ruszaj żywo, bo dragoni cię zaborą.

Rzekłszy te słowa, pocwałował znowu w prawo, i po za laskiem, z którego na tę wyprawę wyszedłem, zniknął mi z oczu. Ja zaś pobiegłem, aby połączyć się z towarzyszami, którzy znacznie mnie wyprzedzili, dążąc do strzelającej skośnie w lewo naszej kompanji, rozstawionej w lasku około dwóch morgów obszaru. Tu, po za pniakami, bez dokładnego porządku, ułożyli się strzelcy i prowadzili żwawy ogień.

Spieszyłem więc ku nim, aby jakoś ład pomiędzy nimi zaprowadzić, i klucza do sztućca zażądać.

Udałem się więc drożyną w głąb lasku, o jakie sto kilkadziesiąt kroków, i tam za grubem drzewem znalazłem mego kapitana, samotnie filozofującego...

Zdziwiony, co tu sam porabiał, nie mogąc nic wiedzieć ani widzieć, co jego podkomendni robią, ukazałem mu karabin zagwożdżony, i zażądałem od niego klucza. Rozzłoszczony żem go w tem ustro niu wynalazł, odprawił mnie szorstko i opryskliwie do kosynjerów, bo nie ma klucza.

- Dobrze kapitanie! - rzekłem - ja idę do kosynjerów; lecz wiedz, że przy bijącej się naszej kompanji nie masz obecnie żadnego oficera, co gdy sprawdzi naczelnik a jest właśnie w tej stronie, to może wypaść z tego bardzo coś złego.

Z temi słowami porzuciłem Dolnickiego, którego pierwszy raz podczas bitwy z bliska miałem sposobność ujrzeć. Wiem, że nie brak mu odwagi, ale znowuż ta oziębłość jego mnie gniewała.

Odszukawszy Baczkowskiego, z jego kompanją kosynjerów, ukrytą na drożynie w lasku, opowiedziałem przebieg do tej chwili bitwy, oraz co mnie tu sprowadziło, i zapytałem go na ucho, jaki też duch tu, u niego panuje; gdyż zdaje mi się, że chwila stanowczego ataku na Moskali jest bliska, albowiem łańcuch strzelców, okoliwszy ich pozycje, co raz żwawiej naprzód postępuje. W odpowiedzi ukazał mi na kosynjerów jakby przerażonych a że było zimno, i dygocących niby przed strasznym, ciągłym wrzaskiem hordy moskiewskiej, oraz bezustannym jej rotowym ogniem, którego kule i tu jeszcze mimo drzew dość gęsto rosnących dochodziły. Rzekłem przeto doń szeptem:

- Ja stanę na czele, ty zaś stań warjergardzie z rewolwerem, i pał w łeb pierwszemu, który się będzie cofał, gdy otrzymamy rozkaz iść do ataku; a przekonasz się, że dobry duch w nich tym sposobem obudzimy.

Do kosynjerów zaś, którzy mieli dla mnie bardzo wielką sympatją, bom dość często do nich zachodził, i starał się o zaspokojenie ich niewyszukanych potrzeb, oraz zawsze z powitaniem i dobrym słowem się odzywał, co u ludu naszego ma wielkie znaczenie - zwróciłem się niezwłocznie.

Pomówiwszy i tą razą serdecznie, przemówiłem do nich stosownie, i to ich zaraz ożywiło, zwłaszcza gdym dodał, że Bóg i Matka Najświętsza nam dopomogą, boć to przecie bijemy się za świętą Wiarę i Ojczyznę naszą.

Po czem zarzuciłem sztuciec na ramię, i od pierwszego wzięwszy jego kosę, a jemu kazawszy poszukać sobie innej, których zapas zawsze z sobą prowadziliśmy, stanąłem wyprostowany, przed nimi a Boczkowski udał się na tyły. Gdy obejrzałem się po chwili, kosynjerzy moi jakoś nie drżą, i wyprostowani również cierpliwie oczekują rozkazu do ataku. - Były to więc widocznie niesłuszne podejrzenia, a co się rychło sprawdziło. Usłyszeliśmy, że ogień karabinowy z obydwóch stron zwiększono zawzięcie. Słońce właśnie zachodziło, gdy przyniesiono nam rozkaz do wystąpienia z ukrycia i ataku na Moskali. Odwróciwszy się do kompanji, przemówiłem:

- Kosynjerzy! Bóg i Matka Najświętsza nam dopomogą. Za wiarę świętą i ojczyznę, naprzód, do ataku na wroga! biegiem marsz! marsz! Niech żyje Polska!

Powtórzywszy jak grzmot, święty ostatni okrzyk, wypadliśmy na pole. W biegu rozwinąłem ich w jeden szereg, frontem do Boryi, przeszło ztąd jeszcze 1500 kroków odległej, na południe od nas. Pędziliśmy na drogę, przez wieś do Kamiennej wiodącą.

Widziałem jak kolumna piechoty moskiewskiej, na której lewe skrzydło z boku atakowaliśmy, zwinęła pospiesznie do wsi. Od południowo zaś wschodniej strony, na zewnątrz wsi, wśród zapadającego już zmroku, błyskały ognie strażów bardzo blisko zabudowania, pochodzące od naszej linii tyraljerskiej, lewe skrzydło stanowiącej. Już zaledwie paręset kroków, od pierwszej chałupy wiejskiej, linja nasza, na której prawem skrzydle biegłem, oddaloną była, gdy przypadł do nas adjutant Gromejko, i przywiózł rozkaz: cofać się z kosynjerami. Ponieważ trochę widać było, zaleciłem kosynjerom krzyżeć wciąż - hurra! - i na miejscu skakać, aby Moskale, jeżeli nas jeszcze widzą, mniemali, że wciąż naprzód pędzimy. Obawiałem się bowiem, obejrzawszy się i nie widząc ani przed, ani za nami naszych strzelców, aby Moskale dostrzegłszy nas, że się cofamy, nie zechcieli ze wsi wystąpić, przeciw nam zaczepnie, i w kosy tylko uzbrojonych, ogniem swym przerzedzić. Gdy się ściemniło dobrze, przestaliśmy dopiero

skakać i cofnęliśmy się w tył; lecz już na drogę ku Glinianom to jest na wschód, a to kołując ku południowemu wschodowi z pod Boryi. Tu, we wskazanym nam miejscu, połączyliśmy się z czekającą na nas a sformowaną już do pochodu kolumną. Kosynjerzy właściwe stanowisko zajęli; ja zaś pobiegłem do swojej kompanji znów w awangardzie, której dowództwo z rozkazu Czachowskiego objąłem, nie zastawszy już w niej Dolnickiego, jak się później w dwa dni dowiedziałem, wysłanego w lasy Iłżeckie, dla przyprowadzenia do nas resztek tułających się uciekinierów Grelińskiego.

Maszerowaliśmy dalej, podczas bardzo ciemnej nocy, aż do godziny 2 po północy. Prowadzono nas jakimiś bocznymi drożynami. Po kilku półobrotach, a ciągle lewem ramieniem naprzód, gdyśmy weszli w jakieś duże lasy, i temi maszerowaliśmy, rozpoznałem, że obecnie stanowczo idziemy na zachód, znacznie już oddaleni na południe od Boryi. Na drożynie leśnej pozwolono nam spocząć. Znużeni wielce, odbytą bitwą i długim po niej jednym ciągiem marszem, zaledwie siedliśmy na drodze, już każdy w tejże chwili zasypiał.

W lesie było nadzwyczaj zimno; wkrótce też przeziębnięty, zacząłem szukać mego futerka, wozonego na furgonie, zwłaszcza, że silny mróz pokrył murawę.

Poszedłem w tył, ku furgonom ostrożnie, abym któremu ze spiących w poprzek drożyny na rękę, nogę, lub też broń nie nastąpił. W marszu opowiadali koledzy, którzy się bili na lewem naszym skrzydle, że majorowi Kicińskiemu kula przebiła prawą rękę; Manowski zaś został ranny w biodro a jedyny nasz felczer, Antoni, wśród gradu kul, dokonał wyjęcia kuli z niego, i odniósł go bez szwanku na tyły. Dowództwo po Manowskim kompanji powierzył naczelnik Rudowskiemu.

Że gdy lewe nasze skrzydło, głównie prawy jego koniec, na początku wsi od naszej strony podstaąpił już niedwie o 30 kroków od stodół, a Moskał pewien składał się do strzału przeciw koledze memu z urzędu w Radomiu, Hipolitowi Jurkowskiemu, któremu w czasie bitwy pożyczyłem tużurek, aby czerwoną swą koszulę schował - to ten, w przystępie wesołego humoru, odwrócił się od niego tyłem, i stanąwszy na czworakach wyrzekł:

-Strzelaj! masz dobry cel.

Rozwścieklony wróg tą obelgą, wypalił i chybił. W tej chwili odwrócił się Jurkowski, i ze słowami:

- Patrz durniu! tak u nas strzelają - dał ognia, - i położył trupem Moskala. Co widząc inni Moskale. z krzykiem: djabeł! djabeł! djabeł! - uciekali w tył, i schowali się za budynki.

Czachowski w tej samej chwili wydał rozkaz cofania się z pod Boryi, nie chcąc narazić jej na spalenie a mieszkańców na wymordowanie przez Moskali; powstańców zaś, na bezpotrzebne straty, które musiałyby wypaść, podczas ataku na znaczną jeszcze siłę nieprzyjaciela, co się wewnątrz budynków schroniła. Znowuż spędziwszy o wiele silniejszych Moskali z placu bitwy, przez nich, poprzednio zajętego, a sami na tem przeszło godzin dwie pozostawszy, honorowi naszemu uczyniliśmy zadość. O większe sukcesy przy naszej partyzantce obecnie, trudno było się kusić.

Pod Boryą spotkalismy właśnie ową sławną ruchomą kolumnę ochotników, pod dowództwem Klewcowy, który tyle carowi zrobiwszy zapewnien, pierwszy raz do boju tu wystąpił, a dostawszy kulę w brzuch, gdy oprócz tego miał ogromną rupturę, gangrena zaraz u niego wkrótce się zjawiała, i tejże nocy we wsi tej zmarł.



Kolumna ta ruchoma, jak pisałem wyżej, liczyła: piechoty, dragonów i kozaków, 1700 ludzi. Gy zaś, potraciwszy dwie kompanje strzelców Jankowskiego, które przedstawiały podczas bitwy jakoby naszą rezerwę, ale do końca udziału w niej żadnego nie wzięły, a po skończeniu, pomaszerowały połączyć się z swym dowódcą - mieliśmy w ogniu: 4 kompanje piechoty i strzelców, razem karabinów i dubeltówek nie całe ludzi 500; 3 kompanje kosynjerów, 280; szwadron kawalerji, 60; oficerowie wraz z sztabem i dowódcą, 24; ogółem sił powstańczych bijących się, 864.

stracili w poległych: Klewkowa, którego ciało wystali do Opatowa, 1: włościanie sprawdzili liczbę zakopanych w piasku trupów, gdzie kolumna frontem rozwinięta stała, 132; rannych odwieźli z placu bitwy, przeszło ludzi 240: to jest razem poległych i rannych 373. Rannych podawano nam według liczby podwód, więc trudno było dokładnie obliczyć; gdyż pierwszymi ich wiozącymi, byli zwyczajnie słabi rachmistrze, nasi włościanie.

Myśmy stracili wszystkiego poległych 3. Rannych zaś tylko 2. Razem 5.

Przyczyną tego było to, że linja nasza długa miała znaczne odstępy. Trzy czwarte naszych sił, operujące na tyłach nieprzyjaciela, gdzie stali tylko kozacy i dragoni wewnątrz wsi ukryci, nie było wcale wprowadzone w ogień do samego końca bitwy.

Ta zaś część, co się potykała, była również rozrzucona, a zasłaniając się terenem, z daleka celnie raziła, stojącego w ściśnionym szyku nieprzyjaciela, na otwartem miejscu.

. Ale napróżno tu szukałem, wcale go nie znalazłem. Namacawszy w ciemności trzech leżących towarzyszy, okrytych płaszczami, zażądłem od nich, aby mnie wpośród siebie dla ogrzania się przyjęli. Gdy mi na to nic

nie odpowiedzieli, układałem się bez ceremonji na nich, sądząc, że własnym ciężarem zmuszę ich do rozsunięcia się i pomieszczenia mnie pomiędzy sobą. Z pół godziny tak leżałem, koledzy jednak nie ustępowali, jakoś mię jeszcze większe zimno od nich przejęło, a oprócz tego i bardzo nieprzyjemna woń od nich zalatywała, że nie mogłem oka zmrużyć, choć czułem nadzwyczajną senność. Podniosłem się przeto a wymyślając im za nieprzyzwoitość, starałem się ich siłą rozsunać. Gdy się do tego zabierałem, znalazłem ciała ich zupełnie skostniałe, i dopiero wtenczas poznałem, mm leżał na wiezionych ze sobą, wyżej rzeczonych trzech poległych towarzyszach. Zmiészany tem mimo wolnem nieuszanowaniem, okazaniem śmiertelnym szczątkom, zlażłem z woza, i ukląkszy, zmówiłem pacierz za spokój ich duszy.

Nareszcie odszukałem moje futro, lecz dwóch malców, rozestawszy go pod spód i do siebie się przytuliwszy, a połamami jego się okrywszy, smacznie w takowem zasypiało. Litość mnie opanowała, aby rozgrzanych niem nie wyrzucać na okrytą siwym mrozem ziemię.

Rozdzieliwszy ich tylko przez wsunięcie się pomiędzy nich, abym choć od nich mógł trochę się rozgrzać, nareszcie usnąłem.

## ROZDZIAŁ VIII

### DZIEŃ 5 MAJA, 1863 R. BITWA W LASACH BAŁTOWSKICH

O godzinie 5 r. zbudzeni, wyruszyliśmy tąż drożyną leśną. A około godziny 9 rano zatrzymano nas, dano po kromce świeżego chleba razowego i po kieliszku wódki. Około godziny 10 rano poszliśmy w dalszy marsz.

Zaledwie jednak uszliśmy nie wiele, gdy od awangardy naszej, do której przed chwilą przeznaczono kompanję Rudowskiego, ja zaś z moją szedłem w arjergardzie - usłyszeliśmy silną salwę moskiewską, z towarzyszącymi zawsze dzikiem i, okrzykami: «Urra !», które echo borów silniej jeszcze powiększało.

Rzuciliśmy się biegiem na przeciw wroga i wypadliśmy na polanę, na której za sągami ustawieni Moskale, ci sami, których wczoraj tak przetrzebiliśmy pod Boryą, cofając się z niej do Opatowa, po wystąpieniu naprzód rannych i Klewkowa, odkrywszy jakimś sposobem bytność naszą w tych stronach urządzili na nas zasadzkę.

Gdy więc awangarda nasza, w której dziś było tylko kilku kawalerzystów, Czachowski bowiem rozesłał marszem nocnym gdzieś w różne strony resztę takowych - przechodziła przez powyższą polanę - ukryta piechota nieprzyjacielska ją przepuściła, nie dawszy znaku swej bytności, a dopiero gdy strzelcy Rudowskiego na takowej się zjawili, z wyższego terenu, gdzie sągi stały, wystąpiwszy z ukrycia, sypnęła na nich salwą, a następnie raziła ich rotowym ogniem.

Lecz gdy w skutek wczorajszej bitwy, duch dobry naszych żołnierzy spotęgowanym został, przeto natychmiast rzucili się z ogniem, a następnie z bagnietami na nieprzyjaciela. Idący za piechotą kosynjerzy, gdy usłyszeli salwę i okrzyki moskiewskie, w tej chwili wpadli, zrobiwszy front w lewo, pędząc skośnie ku rzeczonyj polanie; wypadli wprost na prawe skrzydło linji bojowej wroga, z okrzykiem: «hurra!» Niech żyje Polska! - i z nastawionemi kosami jak huragan pędzili.

Zdemoralizowana i osłabiona wczorajszą bitwą, kolumna moskiewska, a do tego część jej przeważnie z dragonów i kozaków użyta została na eskortę swych poległych i rannych - gdy ujrzała z dwóch stron nasz atak, w tej chwili, rozsypawszy się w gęsty las, pierzchnęła, i w dzikim popłochu uciekała na południowy zachód, pojedynczo się odstrzeliwując.

Ścigaliśmy ją wiele sił nam starczyło przeszło trzy ćwierci mili lasem, kładąc trupem do padniętego wroga. W pościgu tym zachodziły, ze zbytniego naszego rozgorączkowania zapalem bitwy, dziwne pojedyncze zapomnienia i objawy paniki brzydkiej.

Kosynjer pewien, goniący dragona, gdy go dopadł, zamiast go ciąć kosą, chwycił go za nogę, aby go zrzucić z konia; lecz przytomny Moskał, palnął do niego z pistoletu, i położył go trupem. Inny znów kosynjer dogonił kozaka, i znów zamiast uderzyć bronią, schwycił również za nogę i ściągał go z konia na ziemię. Kozak, zapomniawszy w przerażeniu o swem uzbrojeniu, wrzeszczał tylko ściągany z konia, aby nad nim się zlitował, bo jego matka była Polką. Lecz zawzięty kosynjer, gdy kozak leżał już rozciągnięty na ziemi, odstał kika kroków w tył, i ze słowami:

- Ja się nad tobą zmiłuję, zbrodniarzu, psi synu?! - i dopiero porąbał go kosą.

Z lasu wypadli pojedynczo, w tej stronie gdzie był, Moskale i uciekali ku jakimś kilku murowanym domkom, na wschód od Dankowa, i tych dopadłszy, na ich strychy, z dachów wydarłszy trochę gontów, zaczęli do nas, ścigających, zawzięcie strzelać.

Gdy ujrzeli, że i to nie wstrzymało nas w pościgu, jak nie pyszni, wzięwszy nogi za pas, co sił starczyło uciekali dalej. Widząc, że ich już nie dopędzimy a obawiając się, abyśmy nie oddalili się zbyt daleko od oddziału, cofnęliśmy się z powrotem do frontu. Trafiliśmy do rezerw pozostałych w miejscu tem łatwiej, że Czachowski rozesłał za nami kawalerją, która z wyprawy powróciła, i sygnałami do zbierania się ciągle wzywała. Przynieśliśmy przeszło sto sztuk karabinów moskiewskich, przyprowadziliśmy czterech dragonów do niewoli żywcem wziętych, i kilka koni oraz trzy powózki a na jednej z nich tylko 900 ładunków karabinowych.

Z prowadzących jeńców, pewien powstaniec oskarżył jednego z dragonów przed Czachowskim, że był takim naszym zawziętym wrogiem, że choć sam już był rannym, to jeszcze do naszych strzelał.

Przykre na mnie bardzo zrobiło wrażenie, że powyższe oskarżenie, które powinno było dowieść tylko, że oskarżony był dobrym żołnierzem, tak rozgniewało naczelnika, iż siedząc na koniu, porwał za rewolwer, a krzyknąwszy strasznym głosem:

- Wypchnąć go na przód!

A gdy to uczyniono i ten się naprzód potoczył, spuścił swój rewolwer, i palnął w łeb dragonowi, aż mózg wyskoczył mu z głowy. Zapomniałem, że to był zbój najezdnik a widziałem w nim tylko człowieka. Czachowski, uniesiony, krzyknął powtórnie, wskazując na pozostałych trzech młodych i silnie zbudowanych a po moskiewsku wciąż litości i darowania im życia błagających, i przysięgających, że się z nami połączą, wiecznie Matce Polsce jak się wystawiali, odtąd służyć będą.

- Tych trzech rozstrzelać! - i zaczął okiem wodzić po szeregach a ja właśnie stałem pierwszy od strony jego na skrzydle.

Oburzony, na dokonaną przez niego własnoręcznie egzekucją i ten doraźny znów samowolny jego wyrok na jeńców pozostałych, dla których jakąś litość a nawet sympatją na powyższe ich zaklęcia uczułem - nie byłem w stanie ukryć w sobie, przejmujących mnie uczuć, które zbyt widocznie na twarz mą wystąpiły. Gdy przeto dostrzegł jego wzrok szukający: komu by wyrok do wykonania powierzyć? Ze zbyt widocznym wstrętem odwróciłem się w bok, przypatrując się niby kompanji, a z mocnym postanowieniem, raczej sobie w łeb palnąć, gdyby mnie go poruczył, niż takowy wykonać. Usłyszałem następnie dalszy, lecz już mniej namiętny rozkaz:

- Przywiązać ich twarzą tam do drzew! I wskazał na las, na tyle frontu. - Trzech z dubeltówkami, niech tam idą i ich rozstrzelają!

Gdy powyższą komendę usłyszałem, obróciłem się znów do frontu, i słyszałem za sobą wciąż powtarzane błagania o życie jeńców, które przerwały dopiero strzały. Spojrzałem w tył natychmiast po takowych; ujrzałem ciała ich zwiśnię na przytrzymujących ich sznurach, co ich do drzew przywiązywały, a które kosynjerzy przeciąwszy, zamierzali teraz swej broni na trupach już spróbować. - Skoczyłem na ten straszny widok, ze sztućcem ku nim, krzyknąwszy:

- Trupem położę każdego, który mi poważy się zabitego jeszcze rąbać! Daj dowody każdy swej odwagi na żyjącym, ale nie na trupach.

Kosynjerzy odskoczyli w tył jak oparzeni, a ja przypadłem do rozstrzelanych. Wszyscy trzej, po przecięciu sznurów, upadli na wznak już martwi, z otwartymi

szklannymi oczyma, niebieskimi poprzednio. Smutny powróciłem do frontu.

W czasie dalszego oczekiwania na wracających z pościgu, moi przyjaciele, widząc mnie wielce przygnębionego, dla rozweselenia opowiedzieli przygodę, zaszłą w czasie bitwy.

Czachowski jak okazało się, wysłał kawalerją, dla zrekognoskowania dalszej okolicy i sprawdzenia wiadomości nadesłanych nam, o otaczaniu nas ze wszech stron przez nieprzyjaciela, oraz dla ściągnięcia rozpisanych podatków narodowych na potrzeby oddziału.

Stary, przeszło siedemdziesięcio letni dzierzawca młynów Bałtowskich, według ogólnej opinji wielce majątny żyd, gdy nie chciał zapłacić przypadających na niego 10.000 zł. polskich, został przeto przywieziony do obozu, w chwili właśnie rozpoczęcia bitwy, a to razem z żoną, również wiekową osobą, która go nie chciała puścić z domu samego.

Gdy go przedstawiono Czachowskiemu, ten zapytał go ostro, dla czego nie chce podatku zapłacić? - Stary dzierzawca tłumaczył się, że on jest wielce biedny; i na młynach ciągle traci.

- Wszyscy cię znają, że jesteś bogaty - rzekł na tegoz groźnie Czachowski i dodał:

- Kiedy więc nie chcesz podatku narodowego zapłacić, to musisz wielce żałować, żeśmy wczoraj przetrzepali Moskali pod Boryą?

- O! i jak jeszcze - odpowiedział przebiegły żyd i dodał - niech wielmożni panowie co dzień ubiją takiego Klewcową, a ja będę już codziennie płakać.

Z dalszej rozmowy, dowiedzieliśmy się dopiero, że oficerem, który od bijącej się kolumny moskiewskiej pod Boryą zjechał w czasie bitwy z placu, był właśnie dowodzący nią, Klewcow, i że w nocy zmarł, oraz bliższych wiadomości, dotyczących siły i strat moskiewskich w dniu wczorajszym. Gdy od podatku narodowego stanowczo się chciał uchylić żyd, oświadczył mu naczelnik, że dotąd będzie jeździł z nami, dopóki tego nie uiści, a miał z sobą własną bryczkę.

Za chwilę rozpoczęła się bitwa, a gdy kule z przeraźliwym świstem i furczeniem zaczęły przelatywać koło uszu i głów więzionej pary gołąbków starozakonnych, echo powtarzać okrzyki wojenne bijących się, oraz ich wystrzałów - to za każdym zaświstaniem obok nich kuli, zaczęli uchylać się w przeciwną od tej stronę, którą też przeleciała, wrzeszczyć przeraźliwie:

- Aj waj! Co wielmożni panowie robią, to może zabić?

A gdy znów na ich nieszczęście, nowa kula przeleciała, toż samo powtarzali, chyląc się w przeciwną stronę. Pilnujący zaś ich kosynjerzy, pękali ze śmiechu, na te pantominy z wrzaskiem, i doradzili im, aby się schowali pod bryczkę, co też uczynili. Lecz gdy i tam ich kule niepokoić zaczęły, wyskoczyli czempredzej z ukrycia i zaczęli biegać - z rozstawioną jedną ręką, a drugą chwytając się jedno drugiego, i starając się niemi zasłonić. Widząc to ich tracenie wszelkiej przytomności, pilnujący ich, wskazali im dopiero grubą sosnę, którą starzec objąwszy rękoma a za nim stara żydowica, chwyciwszy się pasa mężowskiego, oboje tańcowywali do koła, w miarę zkąd przeleciała kula, a to z dodatkiem niesłychanego wrzasku i perswazji, klnąc się na wszystko, że już zapłacą, i pieniądze natychmiast odeszłą, byle ich tylko puścić z tego paskudnego jak mówili, miejsca. Ulitowawszy się nad nimi, wskazano im stronę, w którą mają uciekać, a ci jak szaleni, znikli w przeciwnej stronie od kul; podatek rzeczywiście natychmiast odesłali.

Uśmiełem się serdecznie, przedstawiając sobie, jak ci biedni ludzie będą później opowiadać przed innymi swymi współwyznawcami, jak to straszno być na wojnie...

Gdy ściągnęli się wszyscy, obliczyliśmy dopiero nasze straty, z czego okazało się: że, poległo naszych 4, rannych zaś zostało 18, których natychmiast wyprawiono na potajemną kurację.

Moskali tymczasem padło około dwustu, 200 tu, ponieważ nasi wszystko rąbali w pień, nie dając nikomu pardonu.

Siły nasze użyte, w tej bitwie, wynosiły tylko pięćset kilkadziesiąt ludzi; gdyż część piechoty i kosynjerów musiała jako rezerwa pozostać w miejscu, w chwili rozpoczynania się takowej. Potem zaś niepodobna jej było użyć; sami bowiem biegnąc, o ile walka i siły starczyły, cośmy zaraz na Moskali się rzucili, zaledwie mogliśmy pojedynczo ich doganiać i tępić, tak zmiatali, i stawali do jakiejś obrony, gdy się ich prawie już za kołnierz chwyało. Kawalerja zaś nasza, nie była obecną; nawet gdyby była się znajdowała, to w lesie, bez wystawienia jej na widoczną zgubę, użytą by być nie mogła.

Moskali zaś mogło być w lasach Bałtowskich około 900 ludzi, i to przeważnie piechoty. Resztę bowiem jak nadmienilem wyżej, odkomenderowano przudem, jako eskortę do Opatowa.

Ponieważ ku końcowi bitwy, Czachowski otrzymał od organizacji zawiadomienie, że major Gołubow i pułkownik Zwierów w dwóch kolumnach silnych, bo z trzech bataljonów Kostromskiego pułku piechoty wraz z kilkoma szwadronami dragonów i podobną ilością sootni kozackich - maszerują z dwóch stron na nas, i są już niezbyt od nas oddaleni, zachodząc głównie nam z przodu; przeto natychmiast z polany w bok ruszyliśmy z powrotem a przyszedłszy na jakieś wzgórze, lasem okryte, na którym drożyna szła w półkole, pochowaliśmy przy niej, z prawej jej strony, siedmiu naszych poległych, nad którymi usypaliśmy mogiłę, i nad nią ustawiliśmy krzyż dębowy z korą. Po skończeniu smutnego obrzędu, rozwinęliśmy się zaraz w łańcuch tyraljerski, i z tego punktu frontem na północny wschód, na przełaj lasami pomaszerowaliśmy, aby uniknąć zbyt przeważnej pułapki.

W skutek bitw pod Boryą i w lasach Bałtowskich, przetrzebiona i zdemoralizowana ochotnicza ruchoma kolumna Klewkowa, została rozwiązana, a ochotnicy do właściwych pułków, w których poprzednio służyli, wcieleni z powrotem.

A z dwóch zasadzek Moskali na nas, okazała się ogromna wyższość powstania polskiego w lasach nad regularnym ich żołnierzem. Tu się sprawdziło Mickiewicza:

. . . Pomnij Ryków kamrat,  
Żebyś nigdy na Lachów nie chodził bez armat !...  
( *Pan Tadeusz.* )

Już się miało ku wieczorowi; gdy ze wzgórzy lasem okrytych spuściliśmy się na trakt z Opatowa do Bałtowa. Przeszedłszy przez Kamienną, maszerowaliśmy jej doliną, ku widniejącemu zdala starożytnemu zamkowi, w rzeczonej wsi, na wysokim i od tej strony nadzwyczaj stromem wzgórzu, z traktem podchodzącym do samych jego stóp. Uderzył mój wzrok zdaleka jakiś siny znów płot na szczycie wymienionego wyżej wzgórza, obok zamczyska, po obu jego stronach ustawiony. Ukazałem go towarzyszom i oświadczyłem, że jeżeli płot ten stanowi piechota moskiewska, to nas strasznie przerzedzi, zanim będziemy mogli przy pomocy jedynej drogi na szczyty się dostać, i z

nią móżdż zmierzyć. Dziwiło to tylko, że gdy przybliżyliśmy się na jakie tysiąc kroków, to Czachowski, wraz ze swym sztabem, wysunął się naprzód ku Bałtowi i galopem tam popędził. Skoro zaś na szczycie ustawione wojsko nie strzelało do nich, zrozumiałem dopiero, że to jakiś oddział powstańczy tam stoi i rzeczywiście, gdyśmy weszli na dziedziniec zamczyska, zostaliśmy powitani serdecznym okrzykiem, przez stojący tam pod bronią i prezentujący takową - oddział Jankowskiego, który zajął go na swe nocne leże.

Oddawszy wzajemnie honory wojskowe, gdy otrzymaliśmy komendę spocząć, zaczęliśmy się oglądać za jakim pokrzepieniem naszych sił, strasznie wyczerpanych marszami i powyższymi bitwami; tem więcej, że oprócz bardzo mikroskopijnych racyj chleba i wódki, któreśmy z rana otrzymali, od wczorajszego rana w Ożarowie, nic więcej, nawet wody w ustach nie mieliśmy, a niesłychane pragnienie nas paliło, i głód nam straszny dokuczał.

Tymczasem Jankowskiego oddział, przyszedłszy pierwiej do Bałtowa, tak jego zapasy żywnościowe wyczerpał, że dla nas literalnie nic się już nie znalazło.

Ugasiwszy przeto wodą nasze pragnienie, i napiwszy się wódki po kieliszku, gdyśmy z godzinę tu wypoczęli, wieczorem, już zupełnie ciemnym, pomaszerowaliśmy dalej, idąc na północ. Przyszedłszy pod jakiś las, w okolicy Daniszewic, w wąwozie, choć wiatr znów wielce mroźny nam dokuczał, po jego bokach ułożyliśmy się do spoczynku na noc, bez najmniejszych ogni.

## ROZDZIAŁ IX

### DZIEŃ 6 MAJA 1863 R. BITWA POD RZECZNIOWEM

Słońce już wschodziło, dnia 6 maja, gdyśmy zziębnięci potężnie przebudzili się i zaczęli znowu oglądać za pożywieniem i rozgrzaniem jakim; lecz ani jednego, ani drugiego jakoś nam nie dostarczono, ognia rozniecić nawet nie dozwolono. Zdesperowani prawie, choć milczeliśmy, jednak w spojrzeniu każdego z nas można było wyczytać niezadowolenie, z nadzwyczaj opieszalej administracji wojskowej, co do zaopatrywania naj niezbędniejszych potrzeb naszego życia, wystawionego na tak nadludzkie wysiłki.

O godzinie 9 rano, dopiero przybył do nas Jankowski z swym oddziałem, i utworzywszy z niego awangardę, wspólnie pomaszerowaliśmy dalej, znów w kierunku północnym.

Przed godziną 9 rano, wyszliśmy z powyższego lasu, mając po lewej ręce drogi jakiś dwór bez ogrodów, nawet żadnego sadu; nie daleko leżały jego zabudowania, czworoboczne folwarczne drewniane, gontami kryte; po prawej zaś stronie drogi, ciągnął się dalej jeszcze o jakie stajanie oddalony bór. Dworek powyższy i jego gospodarcze zabudowania, choć leżały w pośrodku pól, nie posiadały jednak najmniejszego ogrodzenia.

Przeszedłszy o kilka staj od powyższych budynków, pomaszerowaliśmy w poprzednim kierunku dalej, i doszliśmy do kolonii niemieckiej Jawór, z którejto przed miesiącem przeszło, bo 4 kwietnia, Czachowski, dwóch kolonistów w puszozy Iłżeckiej, schwytanych na szpiegostwie, kazał powiesić. Wrodzy ci krajowi naszemu przybysze, nietylko że umknęli ze swych siedzib przed nami, gdy o naszym posuwaniu się w te strony dowiedzieli; lecz nawet popsuli swe żurawie i kubły w studni, żebyśmy się z nich choć wody napić nie mogli.

Pomaszerowaliśmy przeto dalej, a około godz. 11 rano, gdyśmy zbliżyli się ku wsi Jaworów, ujrzałem po za łąkę, na wschód, znaczną ilość podwód i jakieś wojsko. Wielu zaczęło umzymywać, że to są Moskale. Zaśmiałem się, ukazując im amarantowy sztandar tego wojska; bo już sam kolor powinienby ich objaśnić, że wojsko to nie moskiewskie.

Gdyśmy weszli na wzgórze, na którym była pobudowana wieś, i zbliżyło się czoło naszej rozwleczonej kolumny do krzyżowych dróg, spoczęliśmy w miejscu, o godz. 11 rano. Tego dnia z kompanją Czachowskiego stanowiłem arjergardę kolumny.

Słońce paliło silnie, poranek bowiem sam już był przecudny.

Nie wiedząc jak długo będziemy tu stali, kazałem upadającym ze znużenia, głodu i pragnienia strzelcom położyć się na drodze. Za przykładem moim, uczyniły toż samo, inne kompanje. Grunta tamtejsze, jako żwirowo piaszczyste a dobrze uprawiane, okryte były już wyrosłym żytem: Kawalerji z sobą nie mieliśmy żadnej, gdyż takową gdzieś znów wyprawiono.

Około godziny 12 popołudniu, gdy odpoczywaliśmy na drodze, ukrytej pośród wyrosłego ozimego zboża, widziałem, mając wzrok przeważnie w tył zwrócony jak z lasów, łąkę samą drogą cośmy rano wyszli, wysunęli się także Moskale, i ustawivszy się

we front, po prawej stronie opisanego wyżej dworku i jego budynków, rozpoczęli karabinowe salwy plutonowe, po tem kompanijne a ostatecznie w nieustający, rotowy ogień do tychże przeszli.

Z pewnej strony pusty śmiech mnie porywał, na to marnowanie amunicji przez Gołubowa; gdyż wiedziałem, że kolumna przez niego dowodzona ciągnie śladem naszym. Z ilości kompanij, co się ustawiały oraz szwadronów dragonów i sotni kozackich, poznałem, że to jego być musi oddział; bo kolumna pułkownika Zwierowa, dwa razy liczniejsza, z innej strony się ukazać powinna była, żałowałem biednych mieszkańców dworu, wystawionych na barbarzyństwo dziczy moskiewskiej.

Już przeszło godzinę trwał ten atak ogniowy na rzeczony budynki, gdy Juljan Czachowski, syn naczelnika, przypadł na spienionym koniu od czoła kolumny, pytając się mnie o swego ojca - gdzie jest teraz? Zdziwiony wielce, odpowiedziałem, że nie wiem, a on od czoła kolumny, powinienby raczej sam mię o tem pojaśnić.

- Niezawodnie do siostry Leszczyńskiej<sup>85</sup>, do Wierzchowisk pojechał, kiedy go tu nie masz - dodałem. - Pędź więc, co koń wyskoczy za ojcem, i zawiadom go, o tem co się na naszych tyłach dzieje; bo może być z nim i z nami bardzo źle, jeżeli dłużej jego nieobecność tu potrwa.

Zawrócił konia i pogalopował ku Jaworowi, w prawo od krzyżowych dróg. W pół godziny potem czoło kolumny powstało z ziemi, i posunęło drogą od Jawora ku Rzeczniewu, wymaszerując ku rzeczonyj ostatniej wsi. Powstały i inne kompanje oraz aljergarda, posunęliśmy się do krzyżowych dróg. Nareszcie ukazał się od strony Jawora, galopujący ze swym sztabem Czachowski, który rzeczywiście zabiegł na chwilkę do swojej córki; dopiero syn go sprowadził, zawiadomiwszy o groźnem położeniu oddziału. - Wstrzymawszy konia, rzekł do mnie:

- Dolnicki z Wielobyckim przyprowadzą ci tu uciekinierów Grelińskiego, umieścisz ich w kolumnie, przed swoją kompanją. Daj bacność tylko, aby nie zechcieli znów uciekać.

Wymówiwszy te słowa, pogalopował zwyczajem swoim wzdłuż kolumny. Ze słów tych dopierom się przekonał, że podwoły i wojsko, które dostrzegłem na wschód po za wsią Jawór, były rzeczywiście nasze a to z resztkami oddziału Grelińskiego, przez wymienionych wyżej oficerów sprowadzonymi. Czoło kolumny zaczęło, gdy naczelnik do niego przygalopował, szybko maszerować. Żeby nie rozwlec zbyt takowej jako idący w arjergardzie, kazałem towarzyszom moim chodu przyspieszać, oglądając się wciąż po za siebie.

Wypadło ze wsi Jawora biegiem około dwustu Grelińczyków, przeważnie samych kosynjerów; broni palnej, pomiędzy niemi było około 30 sztuk zaledwie, a w tyle ich kłusował, rotmistrz Wielobycki ze 40 naszymi kawalerzystami. Gdy do mnie dobiegli, ustawiłem ich, gdzie mi kazano. Wielobyckiemu zaś z kawalerją, wskazałem stanowisko po za sobą.

Nie szliśmy teraz wprost na północ dalej, traktem w lasach Czerwonowolskich, zaledwie małe pół mili od krzyżowej drogi, ale przeciwnie; robiąc prawie kontra marsz, i do tego w polach odkrytych zupełnie, dążyliśmy na południowy zachód, ku wsi Rzeczniewu, do której mieliśmy od tejże krzyżowej drogi małą milkę. Gołubow tymczasem strzelał wciąż do budynków, a potrzebował zaledwie dobre ćwierć mili na zachód się posunąć, aby przed nami takową zająć. Domyśliłem się, że Czachowski

---

<sup>85</sup> Pomyłka. Chodzi o córkę Julię.



musiał oba wiać się, na podstawie jakichś świeższych zawiadomień, że kolumna Zwierowa jest już niezbyt daleko, a batalja Gołubowa z wiatrem w polu, jest sygnałem wzywającym go do natychmiastowego przybywania z pomocą; aby gdy udamy się na północ, w lasy wyż rzeczone, stanowiące niejako obszerną kępę w pasie polnym, nie łączącą się ani z puszcza Kozieniecką ani też Iłżecką - na raz ze czterech stron otoczyć nas, przez kolumny wysłane z Radomia i Zwolenia, oraz dwóch powyżej już wymienionych.

Z przyspieszanego zaś ciągle przez czoło naszej kolumny marszu, który zniewalał ariergardę maszerować wciąż pełnym biegiem a kawalerzystów kłusować, wniosłem, że Czachowskiemu zależy na tem, aby ubiedz Rzecznów; w najgorszym razie, choćby pod ogniem przesunąć się obok kolumny wciąż strzelającej Gołubowa, i dopaść puszczy Iłżeckiej. Byłem jeszcze o jakie tysiąc kroków od wsi Rzeczniowa, gdy wysłany po za prawe skrzydło piechoty Gołubowa, szwadron dragonów, rozwiniętym również frontem postępujący wolno zjawił się o jakie tysiąc kilkaset kroków odemnie, wśród zbóż z lewej mej strony. Wymijając opisane budynki, dopiero dostrzegł naszą kolumnę, jako niższym trochę terenem wśród wyrosniętych bujnych zbóż postępującą; ponieważ drogę z Jawora do Rzeczniowa, od miejsca na którym ustawił się Gołubow z wojskiem, oddzielała mała wyniosłość.

W chwili jednak powyższej, czoło rozwlekłej, a wielce imponującej naszej kolumny, bo wraz z oddziałem Jankowskiego i resztkami Grelińskiego, liczącej przeszło 1400 ludzi. wchodziło już do wsi Rzeczniowa, uprzedziwszy tam Moskali.

Gdy dragoni to ujrzeni, nie zważając na zbyt wielką odległość, rozpoczęli przeciw nam ogień, i z tym ku nam się posuwali a kilku z nich na tyły podskoczyło.

Ogień piechoty moskiewskiej wkrótce ucichł. Za to z drugiej, przeciwnej, południowej strony, tyle razy rzeczonych budynków, zaczęli się znów z poza nich ukazywać dragoni; i mimo zbyt wielkiego od nas oddalenia, ku nam jadąc, wszyscy, z koni swych strzelać zaczęli.

Śmieliśmy się, żartując sobie, z tych nieszkodliwych dla nas wcale ich manewrów ogniowych i postępowaliśmy szybko, aby utrzymać szyk kolumny, nie odpowiadając wcale na ich nieustanny ogień. Gdy jednak zaczęli się bliżej podsuwać do nas, Wielobycki i jego towarzysze, molestowali mnie, abym rozkazał strzelcom rozpocząć ogień. Tłumaczyłem się, że bez wyraźnego rozkazu naczelnika, poczynić tego nie mogę, tem bardziej, że posiadając sam broń moskiewską marnowałbym tylko napróżno amunicję, której zawsze i tak wielki brak czujemy; bo skoro ich kule, nam szkody nie wyrządzają, to i jabyśmy również ich strzałami nie dosięgnął. Ale jednak gdym dostrzegł wielkie zaniepokojenie, pomiędzy postępującą za mną naszą kawalerją, rozkazałem zresztą ostatniemu półplutonowi swoich strzelców cofać się w tył, przed kawalerją rozsypać się od strony dragonów w tyrajery i pomiędzy temi dwiema jazdami, spokojnie maszerować, wcale nie ważąc się dać żadnego strzału, bez wyraźnego mego rozkazu. To uspokoiło kawalerję naszą, a gdy kompanja moja zbliżyła się do wsi Rzeczniowa, jak po większej części wszystkie nasze wioski w kotlinie, bodaj po nad najmniejszym strumykiem lub moczarem zabudowanej - oświadczyłem Wielobyckiemu - gdy zwłaszcza dragoni przybliżywszy się znacznie, nie zaprzestawali swego ognia, a kule ich już świstały i furczały w koło po nad głowami naszymi i dźwięczały po kosach i bagnietach naszych, aby z kawalerją swoją pogalopował teraz na czoło naszej kolumny; bo łatwo być może, że jednocześnie ze mną, zechcą i dragoni wkroczyć teraz do wsi; on

zaś i jego towarzysze, stawiliby mi wtenczas tylko przeszkodę, do należytego ich przywitania naszym ogniem. Nie potrzeba było wcale im dwa razy tego powtarzać, zaraz też jak wiatr obok nas przelecieli, na swe nowe stanowisko.

Gdym prawie ostatni wchodził do Rzeczniońskiej wsi, wciąż mając głównie wzrok w tył zwrócony ku nieprzyjacielowi, ten tak nas obficie obrzucał swemi kulkami, że bagnety nasze nieustannie dzwoniły, lecz żadnej najmniejszej szkody dotąd nam nie wyrządziły.

Wieś rządowa Rzecznio jest wielką, a włościanie jej byli jeszcze wówczas bardzo zamożni.

Wielu też zgłodniałych a pragnieniem do tego niesłychanem palonych powstańców, widziałem jak z poprzedzających mnie kompanij wpadało do domów, aby choć wody lub mleka się napić. A gdym ich upominał i ostrzegał, że nieprzyjaciel już niedaleko za mną postępuje, aby się wracali na swe miejsca w szeregi; to tłumaczyli się, że otrzymali pozwolenie od swoich kapitanów, i że natychmiast stawią się z powrotem.

Zaledwie zdołałem własnych towarzyszy utrzymać w szeregu, a co mi nawet niektórzy z nich za złe poczytywali, tem więcej, że widzieli innych, którym tego dozwolono, jak utrzymywali.

Jednakowoż, gdy widziałem, że lada minuta starcie zwrogiem nastąpić musi wolałem przenieść to chwilowe usposobienie ich dla mnie, aniżeli brać na siebie odpowiedzialność, za dozwolenie im lekkomyślnego narażenia swego życia.

Dragoni jednak, choć się wielce zbliżyli ku wsi, w obawie jakiejś zasadzki w tejsze, nie poważyli się wejść do niej, by postępować za nami jej środkiem we dwa rzędy dość odległe od siebie zabudowanej. Z dwóch stron, północnej i południowej, gdyż wieś ciągnęła się od wschodu na zachód, po za opłotkami jej, za ogrodami, drożynami polnemi ostrożnie posuwali, posyłając nam wciąż swe kule, gdy tylko ich oczom, choć jakaś część naszej kolumny się ukazała.

Na zachodnim samym końcu wsi, po za ostatnim budynkiem włościańskim, rozpoczynała się duża łąka dworska, obok której droga skręcała się półkolisto z zachodu na południe, a od której na zachód, o paręset kroków jeszcze dalej leżał dwór; ogrody zaś i sady jego, dotykały samej drogi, naprzeciw łąki. Południowa drożyna opłotkowa polna, dochodziła prosto do tej drogi, idąc na zachód, i wpadała na drogę opisaną, a przeciąwszy ją, stanowiła dalej drogę, do tak zwanego na wsi pałacu. Po za drogą i drożyną opłotkową a ze 400 kroków od drogi głównej, prowadzącej do sąsiedniego miasteczka Grabowca, leżały na wschód gumna dworskie.

Gdy arjergarda nasza wyszła ze wsi i maszerowała około łąki, dragonów kilkunastu, co południowymi opłotkami towarzyszyli naszemu pochodowi z tego boku ciągle, wysunęło się tą drożyną, i kilku z nich zaczęło do nas przez łąkę powyższą strzelać.

Towarzysze moi niecierpliwili się wielce, tem upartem drażnieniem ich strzałami a to tem więcej, że nie dozwalałem im wcale na takowe odpowiadać.

Zaczęli już teraz głośno sarkać. Gdym więc doszedł do gumien, dałem rozkaz trzem celnym strzelcom, dać odpowiedź dragonom. Ci zaledwie wypalili, a dragon jeden upadł trupem; trzej zaś, co mu w tem wysunięciu się ku nam towarzyszyli, zwróciwszy swe konie opłotkami w tył, galopem uciekać poczęli; przypadł ku nam również galopem Czachowski, z podniesionym rewolwerem w rękę, i zapytał się kto strzelał.

- Ojczy! - odpowiedziałem mu na to - zanadto blisko dragoni się ku nam poważyli

podsunąć i za długo drażnili nas swą strzelaniną. Dlatego, chcąc ich większego dla nas szacunku nauczyć, kazałem trzem strzelcom odpowiedzieć na ich strzały, a oto jest rezultat - dodałem pokazując mu, na leżącego w opłótkach trupa i umykających.

- Żadnych strzałów! - krzyknął Czachowski – w łeb palnę każdemu, kto poważy się strzelać. Marsz dalej!

Brzmiała lakonicznie odpowiedź starego wodza, po udzieleniu której, zawrócił konia i pogalopował znów do czoła kolumny.

Droga, prowadząca do Grabowca podnosiła się coraz wyżej, w pośród pól dworskich, około 2000 kroków położyło na dość wysokie wzgórze, około kilkaset stóp po nad wsią górujące; na wierzchu tegoż rozpoczynał się niewielki las, którym dalej prowadziła. Po lewej naszej stronie, to jest na wschód od takowej, rozciągało się pole nie obsiane, czyli tak zwany ugor. Grunta jego były podmokłe, przeto dla odprowadzenia zaskórnych zbytnich wód, niewelacyjnymi rowami poprzecinany.

Gdy posłuszni rozkazowi wodza maszerowaliśmy milczący dalej i za ledwie uszliśmy kilkadziesiąt kroków, wypadło z za gumien około 30 dragonów i rozwinawszy, się zaczęło głównie arjergardę ostrzeliwać. Towarzysze znów teraz głośno wyrzekali, przeciw bezczynności na jaką skazani zostali, wobec atakującego nas swym ogniem wroga. Uspokajałem ich o ile mogłem, lecz widziałem, że słowa moje i zakaz wodza nie na długo już ich wstrzymają. Odniosłem się przeto do jadącego konno, obok resztek Grelińskiego, kapitana Dolnickiego, któremu Czachowski powierzył dowództwo bataljonu i przedstawiłem mu moje przykre położenie.

- Cóż na to poradzę - odpowiedział mi Dolnicki - słyszałeś przecie rozkaz dowódcy...

Dragonów przybywało coraz więcej, i nie przestawali nas ostrzeliwać. Odniosłem się teraz, słysząc dalsze wyrzekania, zniecierpliwienie i rwanie się do strzałów moich podkomendnych, których za ledwie od tego powstrzymać zdołałem do dowódcy bataljonu ; ale i tą razą powtórzył to samo. Gdy zaś ujrzałem, że już cały szwadron dragonów rozwiniętym frontem, idzie nas ostrzeliwując i uważałem, że lada chwila wykona szarżę, podszedłem do Dolnickiego, i rzekłem:

- Z usposobienia mych podkomendnych widzę, że wbrew wszelkim zakazom dadzą ognia, a wtenczas stanie się większe zło, bo nieposłuszeństwo jawne wybuchnie - i dalej argumentowałem.

- No! to prowadź swoją kompanję, i rozpocznij ogień - odrzekł Dolnicki i sam zsiadł z konia.

Wydawszy kompanji komendę, rozrzuciłem ją biegiem w tyraljery, w lewo, skośnie do frontu dragońskiego, każąc rozpoczynać pojedynczo, wolny a celny ogień - sam rzuciłem się na prawy koniec rozwijającego się łańcucha.

Zaledwie kilkanaście strzałów padło z naszej strony a już we froncie dragonów powstało za mięszanie, spowodowane spadaniem jeźdźców z koni. Rażony kulami przez nas szwadron, umknął za gumna, by pod osłoną ich, na nowo się sformować.

Dragoni wkrótce wystąpili, ale tak samo zmusiliśmy ich do nowego pierzchnięcia po za gumna. A gdy się na nowo posuwać zaczęli, to kapitan Rogójski rozsypał swoją kompanję bagnetową, z drugiego bataljonu, powyżej naszego łańcucha, i zaczął po nad naszymi głowami razić nieprzyjaciela.

Rozpatrując się, co takiego spowodowało wzmocnienie naszego ognia - dostrzegłem, że już drugi szwadron dragonów przybywał pierwszemu w pomoc. Ale

nasze łańcuchy zresztą zlały się razem i powstrzymały dalsze zachcianki dragonów, nas atakowania. Postępowaliśmy coraz to wyżej, przeto dokładnie widziałem jak piechota moskiewska, przez oficerów pędzona, z tyłu nadbiegała i już się we front rozwijała. Wtedy z trzeciego naszego bataljonu, po bitwach bowiem pod Boryą i Bałtowem, zniósł Czachowski odrębność Galicyjskiego oddziału, a mieszając jego żołnierzy, pomiędzy nas i odwrotnie, postanowił z tegoż i części naszego utworzyć dwa bataljony a ze swej kompanji, starych naszych, najdawniejszych kosynjerów i resztek Grelińskiego oddziału, uformować trzeci bataljon, i wymienionych wyżej kapitanów na ich dowódców przeznaczyć - plan ten w marszu właśnie przeprowadzał Markowski, z 3go bataljonu z 7 kompanją przeszedł w tyraljery, a kompanję Czachowskiego, w broń bagnetową uzbrojoną, rozwinięto wyżej, po nad nami w łańcuch tyraljerski, o znacznie większych od naszego odstępach. Odstrzeliwając się nieprzyjacielowi, złączyliśmy się zresztą ze strzelającymi po nad nami, i wzmocniliśmy nasz ogień znacznie.

Gdyśmy zasłaniając swój odwrót, weszli na wierzch wzgórza, ujrzałem, że takowe zamieniło się w płaszczyznę, zaledwie sto kroków przed nami jako pole uprawianą, za którą rozpoczął się niewielki las, ale bardzo stary i szanowany, z mieszanych drzew i mocno młodzieżą podszyty. Zaledwie kilkanaście kroków płaszczyznę postąpiliśmy, przestaliśmy być zupełnie widzialnymi dla nieprzyjaciela; wstrzymaliśmy więc zupełnie ogień.

Gdy zaś Moskale ciągle wrzeszcząc «Urra!»- rozwiniętym frontem równoległe za nami szli nie przestając strzelać, i gdy kolumna nasza weszła drogą w las, zakomenderowałem: aby łańcuch przyśpieszył zajęcie brzegu lasu.

Sądziłem błędnie, że Czachowski i Jankowski, wszedłszy w las zajmą pozycję za nami jako renas, odezwał się róg moskiewski. Nieprzyjaciel tyły nam zastępował.

Pędziliśmy przeto ku naszym z okrzykiem:

- Cofać się na prawe skrzydło! - Moskwa od drogi tyły nam zachodzi - i sami skośnie, w tym samym kierunku, ku bijącym się przez gęsty las, przedzieraliśmy się pojedynczo.

Gdy tak pospieszałem, na raz w trochę rzadszem miejscu, pomiędzy zielenią liści, błysnął mi kolor jakby amarantowy.

Ucieszony sądziłem, że to krakuski naszej kawalerji; zbliżyłem się, i ku niemałemu przerażeniu poznałem, że to lampasy czapek moskiewskich Smoleńskiego pułku. Byłem sam jeden, gdyż towarzysz znikł mi gdzieś z oczu pomiędzy drzewami; zacząłem przeto pośpiesznie uciekać na południe.

Moskale dostrzegłszy mą amarantową konfederatkę z orzełkiem, srebrnymi obszyciami i kordonkami, puścili się za mną, z krzykiem:

-Trzymaj! łapaj! to naczelnik - nie ujdiesz!

Pędziło za mną ze 30tu.

Byłem najpewniejszy, że ostatnia godzina moja wybiła. Sztuciec miałem nabity. Odwiodłem kurek, i przeżegnawszy się, powziąłem mocne postanowienie: temu, co się najwięcej do mnie zbliży, strzelić w łeb, aby mię raczej zabili, a żywcem w ręce swe nie dostali.

Po niejakiem błąkanii się po lesie, Moskale, nie daleko mię gonili, spotkałem nareszcie jednego z naszych. Należał on do kompanji Rogójskiego, a gdy ich Moskale tak samo oskrzydlać zaczęli musieli się przez nich przebijać i rozsypać następnie po lesie.

Posuwaliśmy się na wschód, bo wiedziałem, gdzie Moskale w polu czatują;

zaczęłam ostrożnie jak wilga pogwizdywać, i wkrótce było nas jedynastu, tj. ja i 10 rodem z Galicji. Między tymi, był niejaki N. człowiek około 60 lat, «kapitasiem wujkiem» przez współziomków zwany, sławny gaduła.

Gdy się tedy przyłączył do nas Wujko, wyrwał swój rewolwer, i krzyknął:

- Teraz nie mamy się czego już obawiać, bo jest nas 13. Ja będę dowodził wami. Niech mi śmiało pokazać się tu Moskale, to ja ich moresu nauczę.

Roześmialismy się z powyższej fanfaronady Wujka, i doszliśmy do końca drugiego lasu, samymi oprawnymi polami otoczonego, na brzegu którego ktoś zaczął budować jakieś domostwo.

Wujko krzycząc, «trzeba choć mleka się napić!» rzucił się do budynku. Zaledwie zdołałem ich odwieść od tego nierozważnego kroku, zapewnieniami, że na własne oczy widziałem Moskali na zewnątrz lasu, dragonów i kozaków, co było prawdą; bom to dopatrzył, podczas błąkania się po lesie; zwróciłem się więc z nimi na północny zachód, a gdy się wahali iść w powyższym kierunku, wprowadziwszy ich w kępkę zagajniku świerkowego, olbrzymi świerk otaczającego, przedstawiłem im konieczne obejrzenie pobojuwiska.

W czasie tej narady, usłyszeliśmy trzeszczenie gałęzi, tuż koło nas. Nie mogliśmy dojść, co to jest. Wkrótce atoli powtórzyło się to po raz wtóry, ale tą razą usłyszeliśmy i głos ponad sobą jakby z pośród gałęzi starego świerka.

- Koledzy czy to wy?

Ubawiliśmy się z biedaka, który jednak broń miał ukrytą pod drzewem. Nauka z drączkami widocznie nie poszła w las.

Lepszy duch zaczął w nas wstępować. Poszliśmy zatem już ufniej na pobojuwisko. Znaleliśmy na niem 16 ciał naszych, zupełnie nawet z bielizny obdartych i w najokropniejszy sposób pokaleczonych, a to tak że na jednym aż 32 pchnięć bagneta naliczyłem.

Ukrytych atoli przez nas rannych, wróg wcale nie odkrył.

Na końcu lewem łańcucha już się nas teraz zgromadziło 53. Wszyscy byliśmy uzbrojeni. Ładunków tylko mieliśmy najwyżej po 3 na jednego. Za to ani jednego Moskala, przez czas powyższego przemarszu, nie ujrzelismy. Gdy zbliżyliśmy się ku drodze, z Rzeczniowa do Grabowca, już było szaro.

Usłyszałem jakiś gwar oddalony. Paradowskiemu, z Kongresówki rodem, kazałem podpełznąć pod drogę, i obejrzeć takową.

Doleciał nas wkrótce głośniejszy wybuch gwaru i okrzyki radości.

- Reszta naszych żyje! Nikt nie dał się do niewoli!

- Rozpoznawszy głosy kolegów, rzucaliśmy się ku drodze, na której o 100 kroków zaledwie ku Grabowcu stał na czatach kozak; lecz ten żadnego znaku życia wcale nie dał, choć dokładnie jego i konia widziałem. Wpadliśmy w rosnące gęsto krzaki, a w rzadszem ich miejscu rzuciliśmy się w objęcia swoich towarzyszy ze łzami radości w oczach.

Markowski, Rogójski i Dolnicki - rzucali mi się na szyję i móstwo innych kolegów i przyjaciół, z prawdziwym szalem radości i rozrzewnienia.

Uspokoiwszy się ze wzruszenia, ustawiliśmy się w kompanję i zaczęliśmy się obliczać. Było nas jeszcze pou bronią zupełnie zdrowych 206, 16 zabitych w głębi lasu i ukrytych pomiędzy krzakami leszczyny a nakrytych chrustem i liśmi 23 razem 245, t.j. tyle, ile weszło nas do lasu.

Z opowiadania. okazało się, że Moskale nie śmieli zapuszczać się głębiej w las, po

obejściu naszych tyłów; ale wnet po pierchnięciu naszych przed ich pięćkroć przeważającą siłą, nauczeni świeżo na swych zasadzkach, sami co żywo uchodzili z lasu.

Gdzie się podziały oddziały Jankowskiego i Czachowski z resztą naszej kolumny? Co mieliśmy teraz z sobą dalej począć? Pozbawieni bowiem zwłaszcza amunicji, nie posiadaliśmy przy sobie do tego, ani jednego kosynjera, ani też kawalerzysty.

Pierwszego zagadnienia nikt na razie nie umiał rozwiązać.

Przysłuchując się różnym zdaniom, zaproponowałem dwa plany następujące:

Jeden plan, łatwiejszy do wykonania, ale mniej użyteczny, polegał na tem, aby zwróciwszy się na północny-zachód, udać się przez wąski pas leśny, którym dostać się mogliśmy na północ wsi Rzeczniowa, w lasy Czerwonej woli, a idąc dalej niemi przekroczyć nocą niezbyt szeroki pas pól,- następnie w lasach Zwoleńskich, łączących się z puszcza Kozieniecką o jaki inny oddział powstańczy się oprzeć i w amunicję się zaopatrzyć.

Plan ten, lubo łatwy do wykonania, pociągnąłby jednak zgubę całego oddziału Czachowskiego, pozbawionego przez naszą nieobecność najlepszej całej jego broni i takich ze żołnierzy - dla tego sam go odradziłem stanowczo.

Widzieliśmy przy tem wszyscy, że Jankowski i Czachowski z większością naszego oddziału weszli do lasu drogą, na południe wiodącą, a zatem nam honor nakazuje dążyć w tym kierunku i usiłować, bądź co bądź z nim się połączyć. Widziałem dragonów i kozaków obserwujących las, w którym my się dzisiaj bili od strony jego południowej, a to było niezawodnym znakiem, że nasi tam poszli.

Plan pójścia za Moskalami do Czachowskiego przyjęto, a mnie obrano za komendanta i swego przewodnika.

Napisałem zaraz do cywilnej organizacji, aby natychmiast, i to w nocy jeszcze, zabrano rannych z lasu i udzielono im wszelkiej pomocy ; aby nadesłano nam chleba, słoniny i wódki, bo przeszło 48 godzin nic nie mieliśmy w ustach; razem z prowizją, niech kilku pewnych z okolicą puszczy Iłżeckiej obeznanych dobrze włościan na przewodników przyszlą, oraz niemniej zawiadomiono, co się stać mogło z resztą oddziału Czachowskiego i Jankowskiego, i gdzie jest dowódzca nasz? 3, by pogrzebano uroczyście 16 naszych poległych.

Zawiadomienie i wezwanie zarazem powyższe, napisawszy na małym kawałeczku papieru angielskiego, do tajnej korespondencji przez nas używanego, doręczyłem znów Poradowskiemu jako zupełny strój wieśniaka posiadającemu, i rolę tegoż zupełnie odegrać w razie potrzeby mogącemu.

Obstawwszy się wedetami, ułożyliśmy się do spoczynku, bez najmniejszego ognia. Przed godziną 11 w nocy, powrócił Poradowski z Rzeczniowa z odpowiedzią, żywnością, przewodnikami oraz 40 powstańcami, którzy to za pozwoleniem swych kapitanów jak pisałem wyżej, w naszym przemarszu przez rzeczoną wieś, wstępowali do jej domów, dla napicia się mleka i wody; tymczasem byli przez Moskali od nas odciętymi, i w niej się ukrywali. Patrijotyczny lud, przed grozą bijących się Moskali nie ułękniomy, pochował ich pomiędzy swoimi.

Przeczytawszy odpowiedź organizacji, dowiedziałem się, że Jankowski swym fatalnym zwyczajem, na który uzalali mi się i inni dowódcy powstańczy, idąc w awangardzie naszej kolumny, gdy wszedł drogą w las, wbrew zawartej umowie z Czachowskim, nie przyjął bitwy, a do tego nie zawiadomiwszy nikogo z nas, że zmienił swoje słowo i plany - zeszedł z takowej ze swym oddziałem w prawo, w krzaki i poszedł

dalej na północno-zachód i stanął w lasach, po za Rzeczniewem, ku Czerwonej woli się rozciągających. Przysyłał furazerów do Rzeczniewa po żywność, w tej chwili właśnie, gdy wysłaniec nasz tam bawił i proponował połączenie się z nim.

Usuniecie się Jankowskiego z placu bitwy, nastąpiło właśnie w chwili, gdy wszystkie trzy nasze kompanje, bijące się już z piechotą nieprzyjacielską, zbliżały się do wierzchołka wzgórza. Szwadron dragonów, na prawem skrzydle Moskali, gdyśmy zajęli pozycje w lesie, zaczął być drogą i na prawo tejże szybko naprzód się posuwać z ogniem. Wtedy resztki Grelińskiego, nieostrzelane należycie i wystawione na ogień, przez pójście nasze w łańcuch tyraljerski a ubrane do tego w białe sukmany, gdy je krew broczyć poczęła, biegiem zaczęły pchać się na swych poprzedników, i psuć cały szyk kolumny, w której przez to powstało wielkie zamieszanie. Mało tego, wrzeszcząc, że już dragoni szarżują, krzyknęli: «uciekajmy!» - czem spowodowali ostateczny popłoch i strach paniczny w reszcie kolumny, mimo, że my, królewiaczy, nie tak to łatwo jemu się poddajemy.

Czachowski krzyczał, rąbał i zastrzelił paru niegodziwych uciekinierów, lecz wszystkie te jego usiłowania spełzyły na niczem. Kosynjerzy, furgony, piechota, kawalerja, słowem wszyscy powstańcy teraz zmieszali się w jeden uciekający i wrzeszczący tłum a tak pośpiesznie, że jadący konno, znajdowali się na równi z pędzącymi pieszo. Dopadłszy zaś miasteczka Grabowca, około osiemdziesięciu wpadło chroniąc się przed wrogiem, aż na strych kościoła, i dopiero Boczkowski ledwie pałaszem i groźbą strzelania do nich z rewolweru, ztamtąd wygonił i pognął za drugimi, którą przeleciawszy to miasteczko, pędzili dalej do puszczy Iłżeckiej, i w takowej znikli.

Haniebna ta rozsyпка była później powodem, że Czachowski nie starał się już więcej używać inne oddziały do wspólnego działania a nawet i do powiększenia znacniejszego własnego świeżymi siłami, tylko na czele wypróbowanych własnych żołnierzy walczy; Gołubow tymczasem, wziął ją za zupełną rozsypkę powstańców.

Utwierdziło go w tem błędnem mniemaniu i to, że wymknęliśmy się, poniosłszy stosunkowo do sił Czachowskiego, o których zbyt przesadzone miał wyobrażenie, bardzo małe straty; gdy przeciwnie, sam stracił pod Rzeczniewem: 6 oficerów i 87 szeregowców zabitych, a przeszło 200 rannych, zabranych na 36 podwód obok własnych kibitek. Obecnie zaś nocował w Grabowcu.

Zbudziwszy towarzyszy, rozdzieliłem żywność, i około 1 w nocy, wysławszy naprzód na 100 kroków jednego z przewodników, by umówionym znakiem dawał znać, gdyby co spotkał, bo choć noc była bardzo ciemna, ale i cicha - ruszyłem w drogę.

Postanowiłem jeszcze w ciemnościach nocy przejść las ten niewielki i następnie, oddzielające go od puszczy Iłżeckiej pola; lecz już nie do Grabowca, ale do wsi, Woli Pasztowej, należące.

Pierwszy przewodnik miał wejść do Grabowca już nad ranem, drugi zaś trochę później; lecz już drogą od Pasztowej Woli. A trzeci miał czekać, przy samem wyjściu traktu z odnogi lasu wąskiej do puszczy Iłżeckiej. Inni znowu mieli ustawić się w pewnej, dla oka dostępnej odległości, aż do ostatniego, który towarzysząc nam miał po przejściu drogi stać na czatach, przy nas spoczywających w tarniakach, po pod samą już prawie puszcza, i oczekiwać nadejścia pierwszego z wyprawionych do miasteczka naszego wysłańca lub w najgorszym razie, danego przez tegoż odpowiedniego a umówionego znaku, który inni rozstawieni, sposobem telegrafu optycznego mieli aż do mnie powtórzyć.

Okolo godziny 4 rano, juz spoczywaliśmy ukryci w tarniakach, z kąd też wyprawilem przewodnika do Pasztovej Woli z karteczką, aby gromada: barszczu, kartofli lub kapusniaku i chleba nam dostarczyła.

Nie tylko w Królestwie, ale i na Litwie, lud nasz, pod grozą mordu i rabunku od Moskali, ochoczo atoli niósł pomoc tego rodzaju powstańcom, i to bezpłatnie najczęściej.